

Zwierzzenia prawdziwe

W CZORAJ, w telewizyjnym teatrze, obejrzałam Ryszardę Hanin. Jakże lubię tę aktorkę, jej grę, sposób interpretacji roli. Cenię ją także jako pedagoga i człowieka. Gdyby nie ona, kto wie, czy w moim dowodzie osobistym, w rubryce zawód, wpisane by było słowo: „aktor”. Pomogła mi wiele w czasie studiów, wspierała dobrym słowem i serdecznym gestem wówczas, gdy nieraz bliska byłam zawrócenia z artystycznej drogi.

Na pewno nie jestem gwiazdą pierwszej wielkości na stołecznych scenach. To prawda — kreowałam już wiele dużych ról, ale zawsze to były i są — nazwijmy rzecz po imieniu — teatry prowincjonalne. Bywało, że miasta, w których pracowałam, poza rozgłośnią radiową, nie miały swych studiów telewizyjnych, a to dla aktora sprawa niebagatelna. Nie chodzi nawet o dodatkowy zarobek, lecz o możliwości (rzadko one bywają dla nas, aktorów z teatrów mniejszych) pokazania się widzom, krytykom, dyrektorom i reżyserom innych scen. A to przecież szansa...

Sądzę, że każdy, kto lubi swój zawód, musi się sprawdzać. Aktor sprawdza się zawsze. Na próbie, na „generalnej” w każdym wyjściu na scenę, a nawet wtedy, gdy sam uczy się i moccuje z rolą, bo nie zawsze ona „leży” w jego osobowości, nie zawsze trafia się w ten najwłaściwszy ton. Stąd napięcie, stałe dążenie do lepszego i stałe trwanie „pod bronią”, w gotowości — słowem w aktorskim makijażu...

Może dlatego tak dobrze mi w poniedziałkowe wolne wieczory, gdy teatr nie gra, a ja nie muszę z zespołem objazdowym

jechać w teren — tylko rozluźniająca, rozszminkująca snuje się po domu i mam prochę czasu na sprawy prywatne. Takie wieczory mają jednak i swoje złe strony. Wystarczy byle pretekst, jakis moment, melodia, nawet telewizyjny teatr, by zaczęły natchodzić refleksje, wspomnienia, nastąpiły rozrachunki ze swym życiem. A ja tego nie chcę, bo się boję... Boję się starości, może zmarnowanego życia osobistego i tego, co nastąpi. — Mam 38 lat. — Nie, nie patrz tak na mnie! Dla

aktorów, tak, zwłaszcza dla aktorów — to próg starości! Ja wiem, że w waszej dziennikarskiej profesji te sprawy nie mają tej wagi. Wiek dojrzały, a nawet bardzo dojrzały, sprzyja piśmiectwu, jest bogaty w doświadczenia i warsztat...

— A u nas? Mniej nawet świetny warsztat, ale lata, wygląd, sprawność już nie ta, a poza tym napór młodych jest tak silny... — Mówisz, że to prawidłowość, że tak jest życie. Racja, racja, ale spróbuj ustępować miejsca, widzieć swoje nazwisko na afiszach pisane coraz mniejszymi członkami, te role zwane „ogonami” i to, że dyrektorzy bardzo niechętnie przyjmują aktorów w średnim wieku. Chyba że jest się właśnie Ryszardą Hanin, Zofią Kucówną, Ireną Eichler, czy Mają Komorowską.

Na szczęście, od samego początku swej aktorskiej pracy (nawet jeszcze w szkole) wiedziałam, że nie nadaję się do ról amantek. Grałam i takie, lecz

zwykle pasjonowałam się rolami charakterystycznymi. Zawsze chodził mi o to, czy rola mi leży, czy też nie. I wtedy nieważne się staje — tytułowa to postać, czy zgoła mała rólka, ale mająca w sobie coś, co aktora fascynuje. Lepiej czułam się w roli kobiety znacznie starszej niż mam faktycznie lat, w „Ryszardzie III” Szekspira, niż w roli Hesi w „Moralności pani Dulskiej” Zapołskiej. Grywałam w dramatach i w komediach, w rewiach nawet, bo w małym zespole na prowincji każdy z aktorów musi być omnibusem. A że w Katowickim Pałacu Młodzieży, gdzie jako 13-letnia dziewcz-

czka o tym nawet ci najwięksi z nas. Praca, praca, katorżnicza nieraz praca. Podporządkowanie życia osobistego sprawom teatru. I — w przypadku aktorów teatrów wojewódzkich — los tula-ozza.

Moja matka, myśląca tradycyjnymi kategoriami, górnicza rodzina, wybijała mi jak mogła — aktorstwo z głowy. To, według niej — nie był godny ani poważny zawód i nie po to było się tyle na moje wykształcenie. — Gorzki ty będziesz miał chleb, Irena — mawiali. — Nie będzie ci łatwo. Zobaczysz...

Częściowo mieli rację. Wyrabiałam i wyrębuje swoją dro-

Bez makijażu

Maria Sitnik

czynka saszczynałam karierę na deskach, nauczono mnie rytmiki, tańca i śpiewu — jestem niezła i w rewiach.

KATOWICKI Pałac Młodzieży... Tam się zaczęło. Próby, występy, wyjazdy, zawrót głowy od małych sukcesów i postanowienie: — Będę aktorką! Ileż dziewcząt i chłopców tak zaczyna. Wchłania tego teatralnego bakcyli, zachłystuje się atmosferą teatru i... wpada. Wielu nie starcza uporu, pracowitości, talentu. Niektórzy, a takich jest wielu, liczą na uśmiech losu, szczęśliwą gwiazdę i już... Jeden triumfalny skok na scenę i jest się aktorem. Brawa widzów, zachwyt krytyków, uznanie dyrekcji, słowem — ośmielająca kariera.

Życie i droga do zawodu aktora są, niestety, zgoła inne. Wie-

zę w takim mozole, jak pewnie mój ojciec węglową ścianę. Ale widać górniczy, rodzinny upór jest i we mnie. Ot, choćby z opanowaniem poprawnej dykcji, co kosztowało mnie wiele trudów i upokorzeń. Z natury jestem też domatorką. A tu życie w zespole teatralnym temu nie sprzyja. Kilka razy, plasując się lepiej, zmieniałam miasta i teatry. Tym samym musiałam mieszkać w hotelach teatralnych, zajmować lokal do spółki z kimś i rzadko — tak jak teraz — teatr dawał mi własne mieszkanie. Urządziłam je przytulnie i po swojemu. Ciagle ktoś do mnie wpada, bo my, aktorzy, jesteśmy z reguły koleżeńscy, choć powściągliwi w swoich uczuciach. Zewnętrzne gesty, czułości tak naprawdę nie liczą się. Boimy się ich, wżak ciagle operujemy gestem i mimiką na scenie.

MOJE mieszkanie jest jednak puste. Nie ma w nim tego kogoś, kto byłby najbliższy. Na-

wet jeśli ktoś taki był w moim życiu, to trudno człowiekowi nie związanemu z teatrem pogodzić się z trybem dnia i nocy aktorów. Rano zwykle próba. Iść do domu na obiad — bez sensu, bo albo gramy popołudniówkę, albo trzeba dać występ w domu kultury, odrobić chałturę w radiu, potem wieczorne przedstawienie i wreszcie jest się w domu... A tam egzemplarz nowej roli, którą trzeba opanować i obezwładniające zmęczenie. Do tego schematu dnia należy wkałkować także objazdowe występy kilka razy w miesiącu, rauty, przyjęcia po premierze i nieraz wyjazdy do Łodzi lub Wrocławia, gdy ma się dobrą passę i rolę w jakimś filmie. A trzeba to wszystko wypełnić, bo aktor musi mieć, niezależnie od nastroju, samopoczucia, nawet stanu zdrowia, dyscyplinę wewnętrzną. Bez tej cechy nie ma czego w teatrze szukać.

Ileż razy zganiana i w nastroju „pod psem” musiałam wychodzić na scenę i grać. Z tą grą, to w ogóle dziwna rzecz. Człowiek wciela się w sceniczny postać prawie bez reszty. Istnieje jednak cienka granica między grą a prawdziwym stanem ducha, choćby pozornie były one zbliżone. W jednej ze sztuk miałam dobrą scenę, gdy dławiąc się łzami (scenicznymi) wypowiedziałam kwestię i wybiegałam za kulisami. Zawsze czułam wzruszenie sali, napięcie (takie rzeczy aktor zawsze czuje) i potem brawa, dużo braw. Pewnego wieczoru, zgnębiona niepowodzeniem czysto osobistym, rozplakałam się autentycznie. Było to niezależne od gry. I co... Otóż widownia zareagowała dziwnie obojętnie na ten moment, a przy zejściu ze sceny towarzyszyły mi nikle brawa. Od tego momentu zrozumiałam, że aktor na scenie musi być tylko aktorem, reszta jest milczeniem i twarz trzeba zachować. (DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Bez makijażu

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

Toteż gdy grałam Antygonę, a wśród greckiego chóru pojawił się, ni stąd, ni zowąd, pies mojej koleżanki — aktorki i grzecznie przycupnął przy odzianej w antyczne szaty pani — wpięty obwąchując każdą z nas — udało nam się zachować olimpijski spokój i do końca wygłosić dytambę. Co się działo potem za kulisami — tego już nie powiem...

Zresztą każda „wsypa” (a zdarzają się, zdarzają) przechodzi do historii teatru, jest tematem anegdot, śmiesznych, choć nie pozabawionych życzliwości — docinków. Bawimy widzów, bawimy nieraz siebie. To ludzkie. Godzinami, najchętniej jadąc autokarem na występ objazdowy, opowiadamy sobie o reakcjach sali. To jest bardzo ważne dla nas. Zapanować, choć przez chwilę, nad zebranymi, waruszyć ich, zatrzymać ich uwagę. Jak to się liczy! To ważniejsze niż brawa, recenzje, kwiaty. Może dla tych momentów warto być aktorem. Warto regenerować swoje siły, przedkładać zawód ponad wszystko. Może dlatego tak potem trudno zejść ze sceny na zawsze...? To piekielnie wiata. I te

momenty chciałoby się powtarzać i powtarzać...

DZISIAJ rano, w sklepie warszawskim, ekspedientka wybrała dla mnie najładniejszą cytrynę. — Świetnie pani gra Adę w tej sztuce „Wkrótce nadejdą bracia”. Namówiłam koleżankę, żeby poszły... Drobny gest, miłe słowa i jak mi przyjemnie. To nie potrzeba sławy, ale potwierdzenia siebie. Zaraz jednak pomyślałam, że w następnej sztuce nie jestem obsadzona i będę miała dużo czasu. Ale nie będę się martwiła z tego powodu, jak dotychczas. Wolne chwile, te bez scenicznego makijażu, poświęcę na przygotowanie reżyserii nowej sztuki, którą planujemy „puścić” w lutym. Nasz reżyser, gdy dowiedział się, że współreżyserowałam dorywczo w poprzednich teatrach — zaproponował mi współpracę. — A może to właśnie jest droga i sposób na to, by nie bać się aktorskiej starości, a pozostać jeszcze w teatrze przez wiele lat. Kto wie...

MARIA SITNIK

Ps. Opisane zdarzenia i ludnie są prawdziwe jednakże celowo nie podałam nazwisk ani nazw niektórych miejscowości.

M. S.